

Posłuchaj

()

Czytając dzisiejszy Brewiarz Trydencki na święto św. Benedykta piszącego te słowa poruszył następujący fragment czwartego czytania:

> […] Pragnąc całkowicie oddać się Chrystusowi Jezusowi, udał się do bardzo głębokiej jaskini w miejscu zwanym obecnie Subiaco. W tym miejscu ukrywał się przez trzy lata, nieznany wszystkim z wyjątkiem mnicha Romanusa, dzięki któremu otrzymał środki niezbędne do życia. […]
>
> W końcu sława jego świętości rozeszła się po pustyni i niektórzy mnisi **przyszli do niego po przewodnictwo**, ale rozwiązłość ich życia (*vivendi licentia*) była taka, że nie mogli znieść jego napomnień (*objurgationes*) i wspólnie

> **uknuli spisek, aby otruć go** napojem. Kiedy podali mu kielich, uczynił nad nim znak krzyża, po czym natychmiast pękł, a Benedykt opuścił klasztor i udał się samotnie na pustynię.

Widzimy tutaj trzy etapy w życiu Benedykta:

- pustynia/jaskinia,
- klasztor,
- pustynia

lub A-B-A. Autor długo trwał w przekonaniu, że św. Benedykt trafił do jakiegoś klasztoru, w którym tak rządził, że współbracia postanowili go otruć, ponieważ on im przedtem 'truł'. Łacińskie *obiurgatio* to „nagana, skarcenie, krytyka”, zatem nieco więcej niż „napomnienie”.

Okazuje się jednak, że to nie Benedykt przyszedł do mnichów, ale oni do niego, zwabieni jego sławą pustelnika.

Zatem nie Benedykt był pierwszym mnichem Zachodu, ale jacyś mnisi byli już przed nim. Jeden przynosił mu jedzenie, inni chcieli go otruć.

I tutaj pojawia się pytanie, na które autor odpowiedzi nie ma. Dlaczego wybierać się do kogoś po „trening”, bo przecież czymś takim jest życie monastyczne i to „trening drużynowy”, by chcieć się następnie trenera w tak podstępny sposób pozbyć?

Być może odpowiedź znajduje się w którymś z obszernych *Żywotów św. Benedykta*, który należałoby w tym celu przeczytać.

Przecież to sami mnisi i to jako grupa lub wspólnota przyszli do Benedykta, by poddać się jego rozkazom i nakazom. Dlaczego więc sami nie odeszli, nie wypędzili go, nie zamordowali w afekcie, ale właśnie próbowali otruć.

To bardzo niemęski sposób zabójstwa, stąd preferowany przez kobiety. Przy trucicielstwie można się emocjonalnie zdystansować, brak bezpośredniej przemocy, nie wiadomo, czy i kiedy ofiara umrze i zawsze można powiedzieć, że to wypadek. Może właśnie w ten sposób mnisi chcieli zatuszować swoje przestępstwo?

Ale przecież powiedzieć też można, że się Benedykt się potknął i spadł z wieży kościelnej. Przecież dochodzenia prokuratury by nie było, więc co za różnicę robić rodzaj zabójstwa?

Piszący te słowa ma zacięcie sportowe. Zawsze wtedy, gdy dawał się komuś uczyć lub trenować, poddawał się niewolniczo wszystkim wskazówkom trenera lub nauczyciela.

Gdy stwierdzał, że nic mu to już nie daje – odchodził. Nie przyszło mu na myśl zaszkodzić jakoś trenerowi/nauczycielowi tylko

dlatego, że on – autor – nie spełniał stawianych mu wymagań. Zawsze starał się je spełnić, szczególnie te sportowe.

Dlaczego więc mnisi nie powiedzieli Benedyktowi:

> Wiesz co, stary, przesadzasz, nie chcemy Cię tutaj, odejdź.

Przecież mieli przewagę liczebną. Z łatwością mogli usunąć go siłą z klasztoru i zamknąć wrota. Po co więc truć? Żeby innym mnichom nie szkodził? Jakim innym mnichom? Przecież to nie było masowe.

Łaciński tekst mówi o *vivendi licentia*, co oddane jest w tłumaczeniu jako „rozwiązłość życia”. Ale *licentia* to 1. swoboda, wolność, nieograniczona władza 2. samowola, niekrępowanie się, nadużycie, II. 1. niesforność, niekarność, 2. rozpusta, wyuzdanie, swawola (Plezia, *Słownik łacińsko-polski*, t. III I-O, Warszawa 1998, 359).

Zatem to, co się swobodą zaczyna niekiedy się rozwiązłością kończy.

Powstaje w tym miejscu kolejne pytanie, dlaczego ludzie preferujący *licentia vivendi* – życie pełne swobody, niesforności lub swawoli chcą prowadzić życie monastyczne? Przecież to także rodzaj wojska, tyle, że duchowego.

1. Chcieli być mnichami.

2. Chcieli być nimi pod kierownictwem duchowym Benedykta.

3. A potem chcieli go otruć. Niełądnie.

Chyba wszyscy mamy dosyć romantyczne wyobrażenie o kierownictwie duchowym wzorowane na *Gwiezdnych Wojnach*, stanowiących obecny kanon kulturowy.

Nie za dobrze to o naszej kulturze świadczy, go kiedyś była Iliada i Odysea, Pieśń Nibelungów, *Legendy Arturiańskie* etc., a obecnie jest to, ale trudno.



Spodziewamy się, że spragniony wiedzy, umiejętności i duchowości nowicjusz poddaje się kierownictwu mistrza, który go wszystkiego uczy.

Copyright Mavientura Projects e.K>



Copyright Mavientura Projects e.K>

Historię tę opowiadają filmy kung-fu i im podobne, jako że od lat 1960 tych, które dziwnym trafem zbiegły się z Soborem Watykańskim II ludzie przestali poszukiwać duchowości na Zachodzie, a zaczęli na Dalekim Wschodzie.



Jak wiadomo z filmów w klasztorach shaolin jest ciężko i znieść trzeba niejedno. Przynajmniej w filmach.

A jak jest w rzeczywistości?

W tym miejscu czekamy na świadectwa byłych i obecnych zakonników zachodnich i dalekowschodnich poprzestając na stwierdzeniu, że różnie.

Doświadczenie św. Benedykta, ojca monastycyzmu na Zachodzie ukazuje, że na samym początku było koszmarnie, że natura ludzka jest niezmienna i skłonna do upadku, że naturze tej się na początku nie chce, a pod koniec ojca duchowego truje. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Przeżycia świętego dają nam zrozumieć, dlaczego reguła benedyktyńska jest tak łagodna. Nie jest stworzona dla ludzi ponadprzeciętnych, rzutkich, którym „kurde, się czegoś jeszcze chce”.

Nie jest to reguła komandosów, sił specjalnych, ale piechoty obliczona na długi marsz z niewielką szybkością poruszania się.

Okazuje się, że właśnie to ta reguła jest i była najbardziej do europejskiej mentalności dopasowana. Przez dłuższy czas

bowiem większość mnichów była benedyktynami lub ich odmianami jak cystersi lub trapiści.

Zawsze pojawiały się nurty reformatorskie powrotu do pierwotnej reguły, ale w odróżnieniu od franciszkanów, benedyktyni nie prowadzili ze sobą wojen domowych i podjazdowych, ale tworzyli oddzielne kongregacje lub klasztory, gdyż każdy klasztor to małe miasto-państwo.

Być może sam Benedykt po swoim pierwszym niepowodzeniu, które prawie przypłacił życiem zmądrzał. Odbija się to echem w jego regule, gdzie często jest mowa o tym, jak zapobiec sarkaniu mnichów.

Być może zastanawiał się po opuszczeniu swojego pierwszego klasztoru nad sobą, swoim powołaniem i sensem własnego życia, skoro to, do czego czuł się powołany, mu tak ewidentnie się nie wyszło.

Są to przypuszczalnie doświadczenia każdego szefa, HR-owca, nauczyciela lub każdego, kto pracuje z ludźmi. Człowiek myślał, że wszystko robi dobrze i ludzie go lubią, a okazuje się, że go nienawidzą i chcą otruć.

Najwidoczniej i świętych tego rodzaju doświadczenia nie ominęły i dzięki nim stali się święci.

Reguła benedyktyńska przewiduje codzienne sprawdzanie wierności regule, którą w porze południa przeprowadza samodzielnie każdy mnich.

1. Należy regułę studiować, 2. oskarżać się z wykroczeń i 3. przyjmować stosowną karę. Jeśli ktoś się do tego stosuje przełożony ma mniej do sarkania lub karania.

W niejednej polskiej firmie handbook, manual lub podręcznik dla pracownika, zatem swego rodzaju reguła już pierwszego dnia pracy ląduje w koszu na śmieci i punktem honoru jest niestosowanie się do niego.

Ludziom się nie chce, nie chce się przełożonym ich karać i *licentia vivendi* robi swoje. Skoro, zgodnie z katolickim dogmatem, łaska opiera się na naturze, to po takim podejściu w tym, co świeckie trudno oczekiwać wzlotów duchowości.

Ale Benedykt nie był Polakiem, ani Słowianinem, ale byłym Rzymianinem. Budował monastycyzm na gruzach dawnego imperium.

Jego doświadczenia uczą nas, że najgorsze są początki, że ludzie są wszędzie tacy sami, że trzeba spróbować raz jeszcze i wytrwać. Dobrze jest mieć jakąś jaskinię lub pustelnię, do której można uciec, gdy jest się szefem lub przełożonym.

Co ciekawe inni założyciele zakonów jak św. Brunon z Kolonii – kartuzi, św. Bernard z Clairvaux – cystersi, św. Norbert z Xantem – norbertanie/premonstratensi i inni nie mieli tak ciężko jak Benedykt. Niektórzy od razu trafili w dziesiątkę, jak św. Brunon i Bernard. Żaden z nich nie doświadczył prób otrucia.

Św. Romuald – założyciel kamedułów sam trafił do pustelnika na nauki, który bił go tak mocno, że Romuald prawie ogłuchł,

ale mimo wszystko swojego mistrz nie opuścił.

Św. Benedykt miał na początku ciężko, a to właśnie jego zakon najbardziej się rozprzestrzenił. Zły duch o tym wiedział, stąd te ciężkie początki. Trzeba pamiętać o tym, gdy coś nowego zaczynamy i wszystko się nam wali.

Piszący te słowa ma regularnie tego rodzaju doświadczenia, ostatnie dwa dni temu, że na początku jakiegoś procesu następuje mniejsza lub większa katastrofa, przez którą zły duch musi się mu „odgryźć”.

Jest to mocno frustrujące, ale konieczne. I tak Żywoty Świętych ukazują nam, że nasze doświadczenia są jak najbardziej normalne. Amen.



Kartą, paypalem lub bezpośrednim przelewem.

Datki

Jak podobał Ci się ten wpis?

Kliknij na gwiazdkę, by go ocenić!

Oceń

Średnia ocena / 5. Policzone głosy:

Jeszcze bez oceny. Bądź pierwszy!

Jeśli podobał Ci się ten wpis ...

Obserwuj nas na mediach społecznościowych!

Related